

magura

BIULETYN MAGURSKIEGO PARKU
NARODOWEGO

nr 2 (28) KWIECIEŃ – CZERWIEC 2022
(kwartalnik bezpłatny)

W numerze:

Czwarta przyroda

Rozmowa
ze Stanisławem Krycińskim

O lesie
Zwykły las?

W numerze:

Od redakcji

2

Dzień Ziemi w Szkole Podstawowej w Dobryni

3

Będziemy zwalczać rośliny inwazyjne

4

Nowości w ofercie edukacyjnej Magurskiego Parku Narodowego

5

„Czwarta przyroda”: nie kośmy wszystkich samosiejek!

6

Wiosenna różnorodność, czyli geofity i nie tylko

10

Rozmowa ze Stanisławem Krycińskim, historykiem i krajoznawcą, na temat Beskidu Niskiego

12

O lesie

18

Latarnie leśnego runa

19

Młody Przyrodnik

20

Zdjęcie na okładce:

Kukułki bzone kwitną w maju w dwóch odmianach barwnych, fot. S. Springer

Redaguje zespół:

Sławomir Springer – red. naczelny

Magdalena Kuś, Agnieszka Nowak, Ewa Wygonik, Iwona Sochacka, Urszula Olchawa, Sławomir Basista

Wydawca:

Magurski Park Narodowy

Krempna 59, 38-232 Krempna

tel./fax: 13 441 40 99, 13 441 44 40

e-mail: mpn@magurskipn.pl

Skład i druk: AGENT PR

Od redakcji

Nareszcie wiosna!

Jak zwykle długo na nią czekaliśmy, na początku rozczarowywała powolnością, a w końcu wybuchła i cieszy nasze zmysły zielenią, pieśniami ptaków i kumkaniem kumaków. MAGURZE udzieliła się wiosenna obfitość roślinnej zieleni do tego stopnia, że nie starczyło miejsca na jej łamach dla zwierząt! Cóż, w końcu rośliny są kluczowe dla funkcjonowania biosfery w tym i dla ludzi, to oddajmy im hołd. Przeczytaj Szanowni Czytelnicy o roślinach wiosennych, a cisach, sałatnicy leśnej i, jako o przystawie tyżce dziegiu w beczce miodu, o roślinach inwazyjnych czyli o niektórych skutkach przemieszczania pewnych roślin poza zasięg ich naturalnego występowania.

Ważnym zagadnieniem tego wydania magurskiego kwartalnika jest nasz stosunek do przyrody i krajobrazu wokół nas. Równamy, tniemy, kosimy, pryskamy chemią, budujemy gdzie popadnie, osuszamy, wypalamy, sadzimy tuje zamiast jarzębiny i kaliny! A przecież jesteśmy częścią przyrody, wszystko, co jemy pochodzi z przyrody, nie z fabryki. Czyste powietrze i życiodajna gleba to też wytwory natury, zanieczyściliśmy powietrze, zwiększyliśmy stężenie gazów cieplarnianych, glebę wyjąłowiliśmy nadmiernym użytkowaniem i chemią i spłukujemy ją wodą płynącą drogami leśnymi. Wycięliśmy większość lasów na całej planecie, a węgiel uwięziony w skamieniałych roślinach (pokłady węgla, ropy i gazu) palimy coraz szybciej, z obu powodów mamy wielkie powodzie, upały, trąby powietrzne i inne ekstrema. Ale chcemy być zdrowi i w zdrowiu żyć długo. Jak mówią w okolicy – „To tak nie będzie”, życie na Ziemi działa trochę inaczej – jesteśmy jego częścią i – parafrazując – wszystko co uczyniliśmy biosferze, sobieśmy uczynili. O tych tematach piszą Kasper Jakubowski, architekt krajobrazu i w aspekcie regionalnym Stanisław Kryciński, pisarz i historyk.

A na zdjęciu poniżej jest kilkuletni cis, młokos jeszcze, ale przed nim długie życie, bo cisy mogą żyć ponad 1000 lat, czekając cierpliwie sto i więcej lat w cieniu starszego pokolenia. W Europie żyją jeszcze takie cisy, które wyglądały jak ten w czasach na długo przed Mieszkiem I i chrztem Polski, widziały całą historię tego kraju i kawał historii ludzkiej cywilizacji.



Nowe pokolenie cisów, fot. S. Springer

Dzień Ziemi w Szkole Podstawowej w Dobryni

Barbara Piątkiewicz

Świętowanie Dnia Ziemi ma w naszej szkole już kilkuletnią tradycję. Co roku organizujemy go w innej formie. 22 kwietnia wzięła w niej udział cała społeczność szkolna. Mając na uwadze charakter tego wydarzenia uczniowie założyli stroje niebiesko-zielone w barwach Ziemi. Zgromadzeni na sali gimnastycznej wysłuchali piosenki o tematyce ekologicznej, wierszy w wykonaniu uczniów z klasy VI oraz obejrzeli prezentację multimedialną pokazującą jak piękna jest nasza planeta, przykłady jej dewastacji przez człowieka, a co najważniejsze, jakie kroki może podjąć każdy z nas by ją ratować. Przedstawiciele Samorządu Uczniowskiego przedstawili historię ustanowienia Dnia Ziemi, ideę jego obchodzenia oraz zapoznali z tegorocznym hasłem obchodów Dnia Ziemi, które brzmi ZAINWESTUJ W NASZĄ PLANETĘ. Następnie głos zabrali specjaliści - pracownicy Magurskiego Parku Narodowego pan Sławomir Springer, który wygłosił prelekcję

dotyczącą historii powstania Magurskiego PN, jego charakteru, bogactwa przyrodniczego i kulturowego ze szczególnym uwzględnieniem rzadkich gatunków roślin i zwierząt występujących na obszarze parku oraz sposobów ich ochrony - ilustrując je na pięknych slajdach. Ciekawy i bogaty w informację przekaz wzbogacił wiedzę przyrodniczą uczniów naszej szkoły za co bardzo dziękujemy. Kolejnym punktem dzisiejszego wydarzenia było sprzątanie Ziemi. Uczniowie pod opieką wychowawców udali się w różne punkty naszej miejscowości, by oczyścić je z zalegających śmieci. Na efekty nie trzeba było długo czekać - wrócili z pełnymi workami, a tereny przydrożne w widocznym stopniu zmieniły wygląd. Dzięki tego typu działaniom dzieci już od najmłodszych lat uczą się odpowiedzialności za naszą planetę Ziemię.



fot. Archiwum SP w Dobryni



fot. Archiwum SP w Dobryni



fot. Archiwum SP w Dobryni



fot. Archiwum SP w Dobryni

SP Dobryni

Będziemy zwalczać rośliny inwazyjne

Justyna Sławniak

Sekcja ds. Realizacji Projektów i Komunikacji MPN

Gatunki inwazyjne są zagrożeniem dla rodzimych gatunków, wypierają je, wpływają na zmiany siedlisk przyrodniczych, powodują również szkody gospodarcze i są zagrożeniem dla życia ludzi i zwierząt. Głównym celem działalności parku narodowego jest zachowanie różnorodności biologicznej, składników przyrody nieożywionej i walorów krajobrazowych. Do zadań parku należy m.in. przywracanie właściwego stanu zasobów i składników przyrody oraz odtwarzanie zniekształconych siedlisk przyrodniczych. A jednym z zagrożeń dla rodzimej przyrody

są inwazyjne gatunki roślin obcego pochodzenia, które należy zwalczać.

Magurski Park Narodowy uczestniczy w projekcie pt. „Zintegrowane podejście do ochrony ekosystemów przed inwazyjnymi roślinami obcymi w południowej Polsce – IAS/EcoSystemCARE” (MF EOG 07.02.02-50-0032/21-00). Liderem projektu jest Uniwersytet Śląski w Katowicach. Oprócz lidera i Magurskiego Parku Narodowego uczestnikami projektu są Norweski Instytut Bioekonomiczny NIBIO, Instytut Ochrony Przyrody Polskiej Akademii Nauk, Uniwersytet Rolniczy w Krakowie, Instytut Technologiczno-Przyrodniczy – PIB i Instytut Zootechniki – PIB. Projekt finansowany jest w 85% ze środków Programu Środowisko, Energia i Zmiany Klimatu pochodzących z Mechanizmu Finansowego Europejskiego Obszaru Gospodarczego oraz w 15% z Budżetu Państwa. Całkowity koszt projektu to ponad 4,5 mln zł, z czego środki finansowe zarezerwowane dla Magurskiego Parku Narodowego wynoszą 812 500 zł.

Głównym celem projektu jest poprawa stanu wybranych ekosystemów, przede wszystkim nadrzecznych i lądowych poprzez zwalczanie roślin obcego pochodzenia w szczególności gatunków z rodzaju barszcz (*Heracleum* spp.), nawłóć (*Solidago* spp.), rdestowiec (*Reynoutria* spp.) i niecierpek (n. gruczolowaty *Impatiens glandulifera*). Proces ekspansji roślin inwazyjnych przyspieszają zmiany klimatu.

Na terenie Magurskiego Parku Narodowego zwalczany będzie przede wszystkim barszcz Sosnowskiego oraz rdestowiec ostrokończysty, zwany japońskim.

Projekt rozpoczął się w 2021 roku i potrwa do roku 2024.



Barszcz Sosnowskiego, fot. Jarosław Sochacki

Nowości w ofercie edukacyjnej Magurskiego Parku Narodowego

Magdalena Kuś, Zespół ds. Edukacji

Jak co roku, przygotowując się do sezonu turystycznego, chcemy odpowiedzieć na potrzeby odwiedzających nas osób. W ciągu ostatnich lat wyraźnie zauważamy ich zmiany, a pandemia postawiła przed nami nowe wyzwania. Coraz więcej ludzi odwiedza teren Magurskiego Parku Narodowego i jest to trend obserwowany także w innych obszarach chronionych. Coraz częściej takie miejsca przyciągają turystów, a chęć obcowania z przyrodą staje się coraz większa. Wiele osób w ciągu ostatnich lat w szczególności doświadczyło tęsknoty za naturą. W oparciu o to doświadczenie przygotowaliśmy kilka nowości w naszej ofercie edukacyjnej.

Od marca rozpoczęliśmy prowadzenie spacerów przyrodniczych z pracownikami MPN pod wspólną nazwą „Chodź na spacer!”. Mają one formę dwu – trzygodzinnych wędrówek po parku i jego otulinie połączonych z obserwacjami przyrodniczymi. Wcześniej realizowaliśmy od czasu do czasu takie spacerki, zapraszając do ich prowadzenia także specjalistów – przyrodników spoza Parku. Cieszyły się one dużym powodzeniem, a prowadzone w ramach innych projektów wycieczki gromadziły wielu uczestników. W tym roku akcja „Chodź na spacer!” realizowana będzie regularnie, a spacerki będą tematyczne.

Oprócz zorganizowanych spacerów będzie nas można spotkać także w terenie. Przez całe lato edukatorzy z MPN będą obecni na szlakach i ścieżkach przyrodniczych, gotowi do spotkań z turystami i do towarzyszenia im w poznawaniu i rozumieniu naszego wspólnego dziedzictwa. Te terenowe patrole testowaliśmy już w zeszłym roku w trakcie trwania pandemii. To właśnie wtedy wiele osób, które większość czasu była zmuszona spędzać w domach, zaczęło poszukiwać możliwości oderwania się od takiej rzeczywistości. Obserwowaliśmy, jak na parkowych szlakach i ścieżkach, niejednokrotnie pomimo niezbyt sprzyjającej pogody, pojawiało się każdego dnia wielu turystów.

Niezależnie od obecności w terenie, będziemy także obecni w Ośrodku Edukacyjno-Muzealnym im. Jana Szafranieckiego w Krempnej oraz w sieci. Ta działalność od momentu rozpoczęcia pandemii stała się dla nas znacznie ważniejsza i pozostanie z nami zapewne na dłuższy czas. I chociaż wielu z nas jest już



zapewnie zmęczonych pracą lub nauką zdalną, to jednak możliwość dotarcia do dużej liczby odbiorców czy udział w wielu wydarzeniach bez konieczności wychodzenia z domu jest nie do przecenienia. W naszych mediach społecznościowych możecie śledzić chociażby cykl „czy już...?“, w którym informujemy o aktualnych zmianach zachodzących w przyrodzie i zachęcamy do odwiedzenia Parku, aby móc tych zmian samodzielnie doświadczyć.

Planujemy także rozwinięcie współpracy z nauczycielami lokalnych szkół. W marcu spotkaliśmy się wirtualnie próbując zdiagnozować obszary, w których moglibyśmy się wzajemnie wspierać. Okazuje się, że jest ich naprawdę sporo i już w pierwszej połowie roku spotkamy się na wspólnych warsztatach przyrodniczych. Wszystkich lokalnych nauczycieli serdecznie zapraszamy do udziału, informacje niebawem pojawią się na naszej stronie internetowej oraz w mediach społecznościowych.

Będziemy w tym roku także rozwijać współpracę z gospodarstwami agroturystycznymi. Wielu turystów odwiedzających okolice Magurskiego Parku Narodowego zatrzymuje się w nich podczas swojego pobytu. Chcemy zacieśnić naszą współpracę i wzbogacić ofertę gospodarstw o tę opartą o dziedzictwo przyrodnicze regionu. Sami również rozwijamy swoje umiejętności i poszerzamy wiedzę, aby móc je jak najlepiej wykorzystywać do budowania relacji z ludźmi w oparciu o docenienie wartości miejsca, które obejmujemy szczególną troską.

Serdecznie zapraszamy do skorzystania z naszej oferty edukacyjnej. Ośrodek Edukacyjno – Muzealny od 1 maja do końca października czynny jest od wtorku do piątku w godzinach 7:00–17:00, w weekendy zapraszamy w godzinach 9:00–17:00. Informacje o bieżących wydarzeniach pojawiają się z wyprzedzeniem w naszych mediach społecznościowych, zachęcamy do ich śledzenia.

„Czwarta przyroda”: nie kośmy wszystkich samosiejek!

Kasper Jakubowski

„Pierwsza” przyroda to ta dzika i dziewicza – została jej już niewiele. „Druga” przyroda powstała, bo korzystamy z jej zasobów – stąd powstały pola, łąki, sady i pastwiska. „Trzecia” to ta zadbana i wypiekniona – ma cieszyć oko, jak w ogrodzie czy warszawskich Łazienkach. Wreszcie jest „czwarta przyroda” – odłogów, nieużytków, „chaszcy”. Naukowcy pokazują, że w niej jest duży potencjał na odrodzenie się bioróżnorodności. Nie wszystko musi być zagospodarowane po horyzont.

Zarówno w środowisku miejskim, jak i wiejskim, należy zachować przestrzenie, w których unika się nieustannie zmieniających je ingerencji człowieka

– Laudato si’: W trosce o wspólny dom (151)
Papież Franciszek

Święty od dzikich zakątków

Św. Franciszek z Asyżu znany był ze szczególnej więzi z całą przyrodą. Miał niezwykłą czułość do zwierząt. Całą ziemię nazywał swoją matką, a wszystko co na niej żyje – swoimi braćmi i siostrami. Do jego pieśni słonecznej odwołuje się w encyklice *Laudato si’* Papież Franciszek. Píše: „nasz wspólny dom jest jak siostra, z którą dzielimy istnienie, i jak piękna matka, biorąca nas w ramiona”. Papież dodaje, że „ta siostra” protestuje dziś „z powodu zła jakie wyrządzamy nieodpowiedzialnym wykorzystaniem i rabunkową eksploatacją”.

Człowiek pełen pokoju i wiary może odkryć na nowo przyrodę i zachwycić się nią. Ważne jest odkrycie, że natura nie jest tylko obojętnym tłem naszych działań i kariery. Przyroda to jest wspólny dom, inspiracja i lekarstwo. Współdzielimy go z milionami innych istot. To bogactwo życia jest niezwykle. Warto się zatrzymać i z uważnością spojrzeć na życie pod stopami, w szczeliny chodników i starych budynków, w zarośla na miedzy, nad strumieniem i za opłotkiem. Nie można być obojętnym na piękno przyrody ani przyczyniać się do lokalnych „małych” katastrof ekologicznych. Czasem można pomóc naturze oddając jej stery i decydując się świadomie na „MNIEJ”. MNIEJ kontrolowania, MNIEJ koszenia, MNIEJ



Święty Franciszek z Asyżu, fot. K. Jakubowski

wybetonowania, MNIEJ zaśmiecania. Mniej znaczy więcej, przekonuje obecny papież.

Św. Franciszek prosił swoich braci i siostry, aby wszędzie, gdzie tylko można, pozostawiali dzikie zakątki. Chodzi o enklawy, gdzie przyroda może rozwijać się sama. Trzeba mniej ingerować i mniej porządkować, a więcej chronić i obserwować to, co jest i już rośnie samo. Ta idea „nieuprawnego obrzeża” jest zapomniana w kulturze europejskiej. Warto ją dziś „odkurzyć”. Święty Franciszek to idealny patron na trudne czasy – niepewności, wojen, zagrożeń klimatycznych i globalnego ubożenia środowiska. Jeszcze nic nie zostało stracone – pisze papież. „Wiele można”. Encyklika jest napisana prostym językiem i daje konkretne rozwiązania.

Piękno odłogów

Inspiracje środowiskowe św. Franciszka to idealna lekcja dla współczesnego człowieka. Chcesz mądrze i trwale „panować nad stworzeniem”? Zaczynaj „panować nad sobą”, swoimi potrzebami i obsesjami. Bądź uważnym użytkownikiem, a nie konsumentem. Inaczej zostawisz po sobie świat w stanie gorszym, niż go zastałeś czy zastałaś. Pozostaną zgliszczka, „ekologiczne pustynie”, wyjąłowiona gleba, świat pełen cierpienia i przemocy wobec ludzi i przyrody. Obsesja kontroli i „panowania nad



fot. K. Jakubowski

przyrodą” nie daje szczęścia, natomiast zubaża nas i świat dookoła. Apokaliptycznie brzmi samotność człowieka na ziemi bez ptaków, bez owadów, bez roślin dziko rosnących, które znikają na naszych oczach. Badania pokazują, że w Niemczech w ciągu ostatnich 25 lat liczba owadów w rezerwatach i parkach narodowych (sic!) spadła drastycznie, o średnio 76 proc. Dziś znikają gatunki motyli i ptaków, uważane do niedawna za pospolite. Ostatnio miałem problem prowadząc warsztaty przyrodnicze, aby odnaleźć na mazowieckiej wsi pospolity dawniej perz czy koniczynę czerwoną. Skąd ten brak ciągłości i powszechna pogarda dla „dzikiego”, „naturalnego”, „nieurządzonego”? Brakuje nam „mądrości współistnienia” z przyrodą – pisze papież Franciszek. Trzeba zbudować ją na nowo.

Nie wszystko musi być użyteczne, zagospodarowane, upięknione. Przecież dawniej pola usiane były miedzami, upstrzone chwastami pól – makami, chabrami, kąkolem. Ramowane ścianą z wierzb głowiastych czy zadrzewieniami śródpolnymi. Zawsze można było znaleźć w gospodarstwie zagajniczki z osiką, hyćką, chmielem czy kaliną. Część ziemi uprawnej odłogowano co kilka lat, co miało służyć regeneracji gleby. Korzystały z tego duże i małe zwierzęta. Tworzyło to mozaikę i ogromne bogactwo kwiatów i ziół. Człowiek posiadał wiedzę, jak z nich korzystać na wiele dolegliwości albo po prostu, dla zdrowotności. Dziś widzimy namiastkę tego piękna w dużych miastach – gdzie łąki kwietne zastępują trawniki w parkach, pasach między ulicami. Ogranicza się koszenie, a mieszkańcy podziwiają na nich bogactwo owadów (np. motyli). W parkach wydziela się gdzieś tam specjalne strefy dla przyrody. W lasach miejskich zostawia się duże ilości martwego drewna. Zaczyna się chronić

miejskie nieużytki jako wartościowe tereny, choć inne niż klasyczne parki. Okazuje się, że nawet tereny zarzucone przez człowieka, wyeksploatowane, opuszczone, zyskują samoistnie nową wartość przyrodniczą. Wystarczy nie przeszkadzać i pojawia się „czwarta” przyroda... Dzięki może być atrakcyjne. Człowiek przyzwyczaja się do niecodziennej estetyki „badyli” czy lasów pełnych mchów, hub i paproci. Badyle zimą czy kępy pokrzyw i jeżyn przestają z czasem drażnić.

Mchy w kostce, kurdybanek w trawniku

Prawdziwą plagą stały się ostatnio tzw. rewitalizacje „po polsku” – zieleńców, rynków, parków czy nieużytków. Rewitalizacja znaczy dosłownie „powrót życia”. Tymczasem mamy do czynienia z betonozą opisaną przez Jana Mencwela w swojej książce „Betonoza. Jak się niszczy polskie miasta” (Wyd. Krytyki Politycznej). Wszędzie pojawia się beton i kostka w nieumiarkowanych ilościach – kosztem roślinności. Rzeki zamieniają się w rynny. Nowo posadzona zieleń staje się karykaturą drzew i krzewów. Glebę



Czwarta przyroda zaczyna się od mikroskali. Jastarnia podczas epidemii, fot. K. Jakubowski



Nieużytki i odłogi, szczególnie związane z wodą, to oazy dzikiego życia. Są dziś bardzo zagrożone. Wrocław, fot. K. Jakubowski

i trawniki zastąpiła czarna, plastikowa agrowłóknina i kora. Rynki i place zamieniono w nagrzewające się patelnie, na których trudno jest latem wytrzymać. Inną plagą jest wycinanie starych drzew i usuwanie „samosiejek”, aby posadzić nowe drzewa. W Polsce zakłada się parki wycinając wszystko to, co już rośnie. Na efekt nowych „nasadzeń” trzeba będzie poczekać, jeżeli oczywiście przetrwają kilka następnych lat po posadzeniu. My nie mamy już tyle czasu! Musimy się przesunąć, oddać pole do działania naturze, zostawić jej więcej miejsca. „Czwarta” przyroda zaczyna się zawsze w małej skali. Na przykład mech w szczelinach kostki. Porosty na dachówce. Mniszki i inne pastwiskowe rośliny w przydomowym trawniku. Czy rzeczywiście trzeba je usuwać i polewać środkiem z glifosatem? Zwłaszcza, że środki te w obiegu w przyrodzie są bardzo toksyczne dla innych istot, czyli dla nas. Z łatwością przenikają do organizmu i są potencjalnie silnie rakotwórcze.

Uwolnijmy naturę. Zazieleńmy, co się da

Zostawmy przestrzeń na „zarastanie”. Przekonuje do tego niestrudzenie też architekt krajobrazu, Wojciech Januszczak z Fundacji Krajobrazu. Posadźmy na ścianach pnącza, ocalmy mech w spoinach, nie dokaszajmy trawników do końca. Zostawmy sterty niezbranego chrustu, a nawet próchniejące kłody, przekonują świadomi ekologicznie projektanci zieleni. Posadźmy hyckę, kalinę, kępkę turzyc. One zawsze z nami były. Zostawmy trochę grup chwastów i zarośli na obejściu. Na tle skoszonego trawnika nawet grupy pokrzyw czy ostów potrafią wyglądać efektownie. Dzięki życie kocha nasze roztargnienie,



Łąka kwietna z rodzimych gatunków kwiatów w Parku Reduta w Krakowie, fot. K. Jakubowski



Mój ogród inspirowany nowym ruchem bylinowym na świecie. Wśród ozdobnych odmian dziko rosnące kwiaty i zioła, i gatunki ruderalne, fot. K. Jakubowski

niedokończenie, odpuszczanie. W przyrodzie nie ma „marnotrawstwa”. Jest tylko wieczny spektakl życia, śmierci i odradzania się. Nie trzeba zwracać uwagi sąsiadowi czy sąsiadce, że ma nieskoszony trawnik do końca. Dajmy sobie trochę luzu i pozwolenia na „inność”, na naturalność, na dzikość. Nie betonujmy wszystkich potoków i rzek – najlepiej, w ogóle ich nie regulujmy. Chrońmy mokradła, ocalmy je przed zaśmiecaniem i zasypywaniem. One stają się dziś rezerwuarem wody, „eko-gąbkami”. Pomagają nam w adaptacji do zmian klimatu i nawałnicowych deszczy.

Jestem architektem krajobrazu i na co dzień mam realny wpływ na kształtowanie zieleni w mieście. Próbuje i to z sukcesami przekonać deweloperów, polityków i klientów swoich ogrodów do bardziej racjonalnego podejścia do środowiska i tego, co na działce już rośnie. Przekonuję, że warto czerpać z lokalnej przyrody, chronić „samosiejki” i stosować np. gatunki rodzime. Trzeba dziś magazynować wodę, retencjonować ją, rozszczelniać beton, aby woda mogła przenikać powoli do wód gruntowych. Warto zmniejszyć powierzchnię kostki, zainwestować w zielone dachy, porobić niecki w podłożu, gdzie nadmiar wody opadowej może się okresowo gromadzić. Im więcej betonujemy i zabudowujemy, tym ważniejsze jest pozostawianie miejsca dla „czwartej” przyrody. Ona szybko pojawi się sama i „zazieleni”. W zależności od siedliska pojawi się rozchodnik, szczyt, popłoch, wiesiołek, dzika marchew, krwawnik czy wrotycz. To idealny zestaw gatunków na zmiany klimatu i najtrudniejsze siedliska! Można wysiać też łąkę kwietną z nasion rodzimych gatunków. Jeszcze lepiej samemu zbierać nasiona (tylko nie z inwazyjnej nawłoci kanadyjskiej!). Można zastąpić spospoliciate „thuje” (żywotniki) innymi drzewami – grabami, bukami albo „miododajnym żywopłotem” z derenia jadalnego. Da się połączyć „naturalne” z urządzonym i zadbanym, a efekty tego mogą być znakomite.

Dziki jest dobre

Sam bardzo lubię skoszony nisko trawnik, ale zostawiam go na ograniczonej przestrzeni. Inną część trawnika koszę wyżej i rzadziej, zostawiając miejsce dla pierwiosnka, bluszczyka kurdybanka, mniszka, stokrotki czy koniczyny czerwonej. Warto wydzielać fragmenty odłogowane, „naturalne łączki”. Dobrze wysiać tam też osty, np. popłocha, szczeć pospolitą czy mikołajka płaskolistnego. Najlepiej jest poczekać, co samo się pojawi. Bank nasion w glebie i w okolicy może nas zaskoczyć bogactwem roślin, które pojawią się same. Eksperymenty są fascynujące. Rośliny ruderalne nie boją się gruzu, odpadów i jałowej gleby. Mają efektowne kwiatostany i przyciągają ptaki – „ostoluby”. Można założyć własny ogród leśny w cieniu z rodzimymi turzycami, paprociami, mchem, kopytnikiem, barwinkiem, konwalia, miodunką, gajowcem i wieloma innymi. Rodzime rośliny naprawdę są fajne i bardzo dziś w ogrodach zapomniane.



Nieużytków nie trzeba rewitalizować, tylko minimalnie udostępnić, uprzątnąć śmieci, wykosić ścieżki i niewielkie polany. Zielonki k. Krakowa, fot. K. Jakubowski



„Zarastanie” jako przestrzeń do edukacji i obserwacji naturalnych procesów. Żabie Doły w podkrakowskich Zielonkach i „traszkostrefa” fot. K. Jakubowski

Naukowcy mówią, że potrzebujemy minimum 10% odłogowania i zostawiania miejsca dla natury, aby swobodnie mogła się rozwijać. Gdzie? Wszędzie, na polach, w lasach, na łąkach, w parkach czy ogrodach. Dotyczy to także miejskich i wiejskich nieużytków – może nie trzeba ich wcale zmieniać, pielęgnować i wycinać „samosiejek”. Są schronieniem zwierząt. Minimum 10% dla natury bez ingerencji, to na początek! Poczekajmy, odłożmy decyzję w czasie, obserwujmy, jak to się będzie zmieniać. Brak ingerencji często nie musi być efektem zaniedbania, a świadomą, naukowo uzasadnioną decyzją! Kośmy tylko część – nawet ten kontrast między „koszonym” a „niekoszonym” może być intrygujący.

Warto pamiętać, że przyroda lubi trochę „bałaganu”. Nic sobie nie robi z naszego porządkowania i kontrolowania. Warto zacząć kosić trawnik, ale trochę mniej, wyżej i rzadziej. Nie wygrabić wszystkiego. Zostawiać kępy pokrzyw, bylic i dziewann. Nie usuwać starych drzew (dzieci je kochają do wspinania), nie przycinać koron starych krzewów (w ich pędach gniazda widać m.in. słowiki). Nie usuwać wszystkich „chwastów i samosiejek”. Pozyskiwać nasiona krzewów i drzew z okolicy. Można je rozsiać w nowych miejscach.

Jak nam zacznie przeszkadzać nasz dziki zakątek, to go skośmy i zaczniemy „proces zarastania” od nowa. Warto zacząć przygodę z „dzikością” i ją oswoić. Nie zawsze to będzie się odbywało na naszych zasadach.

Kasper Jakubowski, dr inż.

Autor jest prezesem Fundacji Dzieci w Naturę. Fundacja realizuje w ramach Programu Aktywni Obywatele – Fundusz Krajowy projekt razem z OTOP – „Dziki jest dobre” – aktywizując mieszkańców Krakowa, podkrakowskiej gminy i wsi do zakładania dzikich zakątków: <https://dzieciwnature.pl/co-slychac/dziki-jest-dobre-2/>

K. Jakubowski jest też współautorem ebooka o bioróżnorodności w ujęciu Laudato si' do pobrania: <https://laudatosi.caritas.pl/pobierz/#opracowanie7> – wydanym we współpracy z Caritas Polska

Autor napisał też ebooka pt. „Czwarta przyroda: sukcesja przyrody i funkcji nieużytków” opisując alternatywne rozwiązania zieleni nieurządzonej, nieużytków i przykłady renaturyzacji z miastach europejskich. To katalog inspirujących rozwiązań środowiskowych dla polskich miast i miasteczek. Książkę można pobrać po wypełnieniu krótkiej ankiety badawczej: <https://dzieciwnature.pl/blog/ebook-o-miejskich-nieuzytkach/>

Autor zaprasza do grupy Facebookowej: „Żabie Doły w Zielonkach”, gdzie udało mu się razem z Fundacją Dzieci w Naturę i Gminą Zielonki zmienić osiedlowy, zaśmiecony nieużytek na ekoskwer – przyjazne dla mieszkańców miejsce do obserwacji lokalnej przyrody.

Wiosenna różnorodność, czyli geofity i nie tylko

Urszula Olchawa

Zespół ds. Edukacji






ryc. Ewa Wygonik i Wiesław Łysakowski COMPAL

Pojawiają się po zimie jako pierwsze, bo mają na to dobry sposób. Duża część z nich, zwana geofitami, zimuje w postaci pączków na organach podziemnych, którymi są bulwy, kłącza i cebule. Inne skrywają pąki odnawiające w przyziemnej rozecie liści lub kłączy. Nazwane zostały naziemnopączkowymi (hemikryptofity). Jeszcze inne tworzą je na pędach, tuż nad ziemią, czyli są niskopączkowe (chamefity). Dzięki takiemu umiejscowieniu, pączki chronione są odpowiednio przez glebę, ściółkę i pokrywę śnieżną. Odpowiednio zabezpieczone i zaopatrzone w substancje odżywcze, zgromadzone w organach podziemnych, mogą wcześniej wystartować. To zapewnia im świetny dostęp do światła (na drzewach liście jeszcze nie są rozwinięte). Dzięki temu wszystkim, rośliny te mogą szybko urosnąć, zakwitnąć i wydać nasiona. Potem, w większości obumierają i chowają się znowu w postaci pączków na zregenerowanych organach podziemnych, przeczekując niekorzystny dla siebie czas.

Wiele z tych roślin swoje nasiona wyposaża w elajosom (wyrostek obfity w tłuszcz i węglowodany, tzw. ciało mrówcze). Jest to przystosowanie nasion do rozsiewania przez zwierzęta (gł. mrówki), które chętnie go zjadają, porzucając potem nietknięte nasiono.

Inne rozsiewane są, w zależności od gatunku, przez wiatr, splukiwane wodą deszczową czy wyrzucane przez roślinę dzięki wytworzonym specjalnym mechanizmom.

Sposoby rozsiewania:

-  wiatr,
-  woda,
-  wyrzucenie na odległość,
-  grawitacja,
-  roznoszenie przez mrówki



Śnieżyczka przebiśnieg



Zdrojówka rutewkowata



Zawilec gajowy



Miodunka ćma



Zawilec żółty



Śledziennica skrętolistna



Kokorycz



Podbiał pospolity



Ziarnopłon wiosenny



Złoc żółta/łukowa





Lepięznik biały



Żywiec gruczołowaty



Pierwiosnek wyniosły



Cebulica dwulistna



Lepięznik różowy



Barwinek pospolity



Pierwiosnek lekarski



Lulecznica krajińska



Fiołek wonny



Gwiazdnica wielokwiatowa



Żywokost sercowaty



Czosnaczek pospolity



Knieć błotna



Szczyr trwały



Łuskiewnik różowy



Szczawik zajęczy



Żywiec cebulkowy



Czosnek niedźwiedzi



Rzeżucha łąkowa



Żywokost lekarski



Rozmowa ze Stanisławem Krycińskim, historykiem i krajoznawcą, na temat Beskidu Niskiego

Jakub Łobocki

Wolna Grupa Beskid Niski

JŁ: Stanisławie, rozmawiamy w chyży w Olchowcu, której jesteś współwłaścicielem. Opowiedz, jak się tu znalazłeś, jak trafiłeś w Beskid Niski (dalej: BN)?

SK: Pierwszy raz w BN byłem w roku 1975, latem, na dwutygodniowym obozie wędrownym, z namiotami na plecach, który zorganizował Klub Turystyczny z mojego Wydziału Chemii Politechniki Warszawskiej (SKTCh „Redoks”). Nie pamiętam dokładnie, jaką trasą szliśmy i czy wtedy byłem w Olchowcu. Pamiętam, że spaliśmy w namiotach w: Nieznajowej, Czarnem, Wapiennem i w Bartnem. Tam dopadła nas zmiana pogody, wcześniejszy upał przerodził się w trzydniową ulewę. Przenieśliśmy się wtedy z namiotów do stodoły, która stoi do dzisiaj. Była bardzo przewiewna. Nie pomagało nawet włożenie w siano. A że wypadały wtedy imieniny Anny, a na obozie było sześć Ań, kupiliśmy w sklepie skrzynkę wina marki „wino” i tak w tej stodole przez te trzy dni kiśliśmy w wilgotnym sianie. A gdzieś dalej poszli, to już nie pamiętam...

JŁ: Czyli to była taka studencka impreza, w której bardziej chodziło o towarzystwo, niż poznawanie Beskidu.

SK: Tak, absolutnie. Gdybyś mnie zapytał, co najbardziej pamiętam z tamtego rajdu – koleżanki! (śmiech). Pamiętam jeszcze taki epizod. W Czarnem mieszkał jeszcze pewien Łemko. Zanim spotkaliśmy go na progu cerkwi, zrobił nam w nocy dowcip. Gdy już powłaziliśmy do namiotów, zaczął udawać dzika – tłukł się po krzakach i chrząkał. Rano przyszedł i był bardzo zadowolony, że udało się nas nabrać. Wtedy też opowiedział nam, że pilnuje cerkwi, która była opuszczona i sukcesywnie rozkradana.

JŁ: Kiedy w takim razie zainteresowałeś się BN głębiej?

SK: W 1976 poszedłem na kurs przewodnicki i w maju 1977 byłem już w BN na przejściu przewodnickim, które kończyło się w Bieczu. I to było już takie świadome chodzenie, po to żeby coś zobaczyć i zapamiętać. Później rokrocznie uczestniczyłem w tygodniowych rajdach „BN”, do końca lat 80.



S. Kryciński, fot. Adam Kryciński

W SKPB istniały zawsze dwa nurty: pierwszy tzw. „ścigantów”, którzy ganiaли po górach, zdobywali szczyty, kolekcjonowali szlaki i kilometry; i drugi – „naukowy”, który spotężniał w drugiej połowie lat 70. W kole działał wówczas Krzysztof Porada (który niestety zginął w Kaukazie) i on był głównym motorem podejścia poznawczego. W efekcie czego w 1979 została powołana akcja „Opis”, której pierwszy impet poszedł na Łemkowszczyznę i tak powstała akcja „Łemkowyna”. Realizowana pod postacią obozów „badawczych”, w trakcie których uczestnicy przeprowadzali wywiady z Łemkami, pytali ich o to: jak im się tu żyło, o wysiedlenia; były robione zdjęcia: chyży, krzyży przydrożnych, powstawała taka dokumentacja. Obozy te były prowadzone przez 10–15 lat, w jednym roku mogło być ich kilka.

JŁ: Czy ta dokumentacja została później gdzieś opublikowana? Czy chodziło raczej tylko o rozbudzenie w uczestnikach zainteresowania tematem?

SK: Najbardziej zanurzyli się i zasłużyli się w tych obozach Anna Ostrowińska i Krzysztof Kleszcz. Jego najbardziej interesowała muzyka – chodził z magnetofonem i do dziś ma te nagrania – tylko, kto to wszystko dziś zdigitalizuje? Wiele osób uczestniczyło w obozie tylko raz, zebrane materiały się gdzieś porzuciły. Piętą achillesową był brak koordynatora, który by te wszystkie wywiady na bieżąco zbierał.

Nie wszystko jednak przepadło. Pierwszy przewodnik po BN, który zrobiło wyd. Rewasz na początku lat 90., w pewnej mierze opierał się na tych informacjach. Redaktor Bogdan Mościcki, który był szarą eminencją tych obozów, skorzystał z wielu informacji zebranych podczas akcji „Opis”. W 1979 roku byłem uczestnikiem obozu „Łemkowyna”, prowadzonego przez Andrzeja Wielochę, z zamysłem, by takie akcje robić na Pogórzu Przemyskim i w Bieszczadach. Robiłem je od roku 1980 pod nazwą „Nadsanie”.

JŁ: To jak trafiłeś do Olchowca?

SK: Przez Olchowiec właściwie co roku się przechodziło. I tak wpadł mi w oko. Jakoś tak bardziej lubiłem tę środkową część BN do Traktu Dukielskiego, od części zachodniej, i od części wschodniej, na której rozpościerały się wtenczas dzikie pola socjalizmu. Gdy już byłem przewodnikiem, chodziłem ze starymi mapami, brało się setkę, gdy był szlak to mi nie przeszkadzał, ale gdy miałem ochotę gdzieś skrócić to sobie skręcałem.

JŁ: Pierwsze obozy „Opis” dotyczyły Łemkowszczyzny, czy to dlatego, że w Bieszczadach nie było już wtedy z kim rozmawiać?

SK: Tak, Pogórze nikogo wtedy nie interesowało, ja byłem czarną owcą, która chodziła po Pogórzu ku uciesze kolegów przewodników, w Bieszczadach nie było z kim rozmawiać, a tu jeszcze byli Łemkowie. Chyba to, że można było z nimi rozmawiać, spowodowało, że zaczęła się pierwsza moda na łemkowszczyznę.

JŁ: Jesteś autorem wielu książek mających w tytule „Bieszczady” oraz „Pogórze Przemyskie”, jednak twoje książki dotyczące BN zatytułowane są „Łemkowszczyzna”. Czy to dlatego, że dla Ciebie – podobnie jak dla mnie – BN to przede wszystkim łemkowszczyzna?

SK: Tak i nie. Po napisaniu pierwszej książki o Bieszczadach na życzenie wyd. Libra, która została dobrze przyjęta, zaproponowałem, że napiszę podobną książkę o BN – lekkie, łatwe, i przyjemne



Olchowiec 1982, fot. S. Kryciński



Bartne 1981, fot. S. Kryciński

wspomnienia turystyczne podlane krajoznawstwem. Wydawnictwo wolało jednak poważniejszą książkę, nie tylko o BN, ale o Łemkowszczyźnie. A że, BN to przede wszystkim Łemkowszczyzna (choć nie odwrotnie), zabrałem się za to. Jednak książka turystyczna o BN nadal za mną chodzi.

JŁ: Bardzo mnie to cieszy! Liczę na to, że zawrzesz w niej wiele własnych zdjęć! Nie dlatego, że nie cenię twoich tekstów, ale dlatego, że bardzo cenię fotografie z twego przepastnego archiwum.

SK: Ja też bym wolał zrobić album, bo wtedy tekstu nie musiałbym pisać, a zdjęcia już mam (śmiech). Chodząc głównie dolinami, nie da się w BN ominąć wsi, nie da się nie zauważyć: cerkwi, cmentarzy, chyz, kapliczek i krzyży przydrożnych. W BN przyciągały przede wszystkim cerkwie, ogromna ilość kamiennych krzyży przydrożnych, których nie znajdziesz dużo w innych regionach. W Bieszczadach po wysiedleniu Bojków większość ich kultury materialnej została zniszczona, z krzyżami przydrożnymi i cmentarzami włącznie. Innym charakterystycznym elementem i ewenementem są cmentarze z okresu I wojny, które w BN mają wysoką wartość artystyczną.

JŁ: To prawda, że w BN trudno nie napotykać reliktyw, które skłaniają do refleksji na temat historii. Trudno przejść np. przez Świerzową Ruską i zobaczyć cmentarz w środku lasu nie zastanowić się nad tym, skąd się tam wziął. Nawet na oddalonym od wsi szlaku granicznym przechodzi się często obok wojennych mogił. Jest tu inaczej, niż np. w Sudetach, gdzie przy okazji chodzenia po górach można zwiedzić jakieś zabytki (np. zamek), w BN trudno jest chodząc po górach przejść obojętnie obok śladów historii i kultury.

SK: Generalnie miałem tak, że odkąd zacząłem akcję „Opis” na Pogórzu, chodziłem głównie dolinami. Na jakąś górkę się czasami wlaźło. Ale ciągnęło mnie w doliny.



Turzańsk, lata 70, fot. S. Kryciński

JŁ: Jesteś znany z tego.

SK: Tak. Koledzy z SKPB się ze mnie śmiali, że chodzę dolinami i pytali mnie czemu, a ja im odpowiadałem: bo nie ma takiej góry, której nie dałoby się obejść! To, co w tych dolinach zostało, najbardziej mnie interesowało. Po górach trochę chodziłem. Najwyższa na którą wlałem, to Alam Kuh w Iranie (4850 m), byłem w Pirynie i nawet na Tarnicy byłem, i tyle wyczynów sportowych mi starczy!

JŁ: Wiem, że masz swój udział w remontach łemkowskich cmentarzy. Czy na pomysł odnawiania nagrobków wpadłeś w BN?

SK: W latach 70–80. cmentarze w BN nie były aż tak bardzo zniszczone, kamieniarka bartniańska była na tyle solidna, że nagrobki często wymagały tylko ponownego ustawienia. Natomiast wędrując po Bieszczadach widzieliśmy cmentarze straszliwie zrujnowane. Na tamtym obszarze, gdy skończyła się walka z ludźmi, byli tacy, którzy mścili się jeszcze na nagrobkach. Pewien milicjant z Cisnej chodził po pracy na cmentarz z pięciokilowym młotem i machał nim dotąd, aż nie ostał się żaden nagrobek z napisem ukraińskim. To właśnie celowo zrujnowane cmentarze zmotywowały mnie do zajęcia się ich remontami. Na początku obozy „cmentarne”, które także nazwały się „Nadsanie”, odbywały się w Bieszczadach. Jednym z ich uczestników, w latach 80. i na początku lat 90., był Szymon Modrzejewski, który później założył Nieformalną Grupę Kamieniarzy „Magurycz”, kontynuując misję remontową. My dopiero w 1996 roku dotarliśmy z remontami do gminy Rymanów. Odnawialiśmy cmentarze w: Króliku Wołoskim, Besku i Bałuciance. W następnych latach w: Wiśloczku, Tarnawce i Puławach. Na kolejne działania nie potrafiłem znaleźć pieniędzy.

JŁ: Chciałbym zwrócić uwagę na jedną rzecz. W BN największe szanse przetrwania miały te cerkwie, które zostały zamienione na kościoły i nad którymi ochronę roztoczył konserwator zabytków; kapliczkami i cmentarzami – jeśli miały szczęście – zajmował się Ty, a teraz zajmuje się nimi głównie Stowarzyszenie „Magurycz”, cmentarzami wojennymi opiekują się grupy zapaleńców, nie widać jednak specjalnej ochrony drewnianych domów. Wiele chyż zgniło lub zostało rozebranych na opał, zostało sprzedanych za granicę itd. Pełną decyzyjność pozostawiono właścicielom, którzy albo nic z nimi nie robią, albo chętni się ich pozbywają – i nikt im w tym nie przeszkadza. Niestety, niemal nikt z nich nie



S. Kryciński podczas pierwszego wędrownego obozu w Bieszczadach IX 1974

decyduje się na remont. Nawet Łemkowie nie wydają się być szczególnie do nich przywiązani. Mamy w BN piękne wsie, jak np. Polany, w których nadal stoi wiele chyż. Z jednej strony rozumiem, że właściciele może nie być stać na remont (a jednak stać ich na postawienie obok nowego murowanego domu) lub nie chcą w nich mieszkać. Z drugiej wydaje mi się, że po prostu nie dostrzegają w tych domach ich prawdziwej wartości. Równocześnie do beskidzkich wsi wkraczają krzykliwe kolory, banery, kostka brukowa i tuje. Niemal nikt, budując dom, nie nawiązuje do lokalnej tradycji, nie mówiąc już o tym, że niemal nie buduje się nowych domów z drewna. Dlaczego tak jest? Dlaczego Łemkowie porzucają chyże i budują murowane domy?

SK: To nie problem łemkowski, tylko ogólnopolski. Za PRL-u wtlaczano ludziom w głowy, że wiejskie jest gorsze, dziadowskie – „słoma ci z butów wystaje”, „jesteś cham, burak ze wsi”. A z drugiej strony promowano „nowoczesność w domu i zagrodzie”. I cała Polska się wymurowała. Pamiętam wsie kurpiowskie (Porządzie, Sieczychy), w których chałup kurpiowskich było po 40, śladu już po nich nie ma. I tego negatywnego nastawienia po PRL-u nikt właściwie nie próbował odkręcić. Nie przeprowadzono żadnych działań odgórnych, by ludziom wytłumaczyć wartość podtrzymywania tradycji. Popatrz na Podhale – przyjechali miastowi, zachwycili się stylem zakopiańskim, górale się potapali i teraz wszyscy trzymają się tego stylu i zarabiają pieniądze. A tutaj zanim przyjechali miastowi i zaczęli cmokać nad chyżami i czuchaniami, to Łemków wysiedlono. A później, gdy część z nich wróciła w swoje strony, powstała wzajemna nieufność. I pewna niechęć Łemków do własnej kultury. Raczej dążyli do tego, by się budowlanie „zasymilować”, niż wyróżnić. Tadeusz Kiełbasiński kupił chyżę w Olchowcu, w której gromadził stroje łemkowskie, by je przechować, bo inaczej poszłyby na szmaty. Oni nawet nie chcieli za te stroje pieniędzy. W zamian za nie Kiełbasiński przywoził z miasta: kalosze, kufajki, czapki, rękawice, widły, siekiery. Nie chodzi tylko o to, że Łemkowie mieli pragmatyczne podejście do tych rzeczy, ale o to że i strój i chyża były symbolem „łemkowskości”, za którą zostali wysiedleni i byli prześladowani. Pamiętam ile trwało, zanim namówił Olchowian, by założyli te stroje i wzięli w nich udział w Kermeszu.

JŁ: Przecież po 1989 roku Łemkowie mogli już głośno mówić o skrywanej dumie ze swej tożsamości...

SK: Nie, nie, nie... To tobie się tak wydaje. W 2005 roku jeździłem po Pogórze Przemyskim z Bogdanem Hukiem, ja chciałem obejrzeć różne miejsca, a on spotykał ludzki, których znał – głównie starych – i rozmawiał z nimi po ukraińsku. Ja tak stałem i słuchałem, ale czasem chciałem coś dopytać,



Cerkiew w Blechnarce 2002, fot. S. Kryciński

i kiedy się odzywałem po polsku, jego rozmówcy podskakiwali ze strachu, bo poruszyli jakiś temat, którego w ich przekonaniu przy Lachu lepiej nie poruszać. Ta krzywda cały czas w nich tkwi.

JŁ: Po ostatnim Kermeszu usłyszałem w sklepie taki komentarz: wiecie czemu łało przez cały weekend?, bo oni znowu się tam zebrali w tym Olchowcu... Przykro mi się zrobiło, że ludzie nadal mogą myśleć w taki sposób. Wróćmy jednak do tematu chyż. Czyli konkluzję mamy taką, że to, co wiejskie jest złe, a kostka brukowa i tuje są symbolem pragnienia tego, co miejskie. Przyjeżdżają jednak turyści, którzy zaczynają – tak jak niegdyś na Podhalu – cmokać nad chyżami. Czy więc nie warto zadbać o nie, remontować choćby po to, by otworzyć agroturystykę (których wciąż jest za mało), a może łemkowską restaurację? Oprócz wartości historycznej, taka chyża mogłaby zarabiać na sobie i dzięki temu przetrwać.

SK: Oczywiście, że chyża to potencjał. Jednak obawiam się, że zanim to zostanie zrozumiane, to już nie będzie czego ratować. Wtedy będą stawiane repliki chyż i zamiast pięknego oryginału, będziemy mieli pewną sztuczność, stworzoną pod turystę. Na razie ludziom wydaje się, że lepiej i taniej zbudować turystom małe domki, zamiast cackać się ze starą chyżą. Może gdyby była jakaś opieka państwowa, wsparcie finansowe, akcje uświadamiające, to wtedy ludziom by się chciało je remontować. W Alpach, gdzie istnieje opieka państwowa nad tradycyjnym budownictwem, jest ono pięknie zachowane i nikt nie zbuduje czegoś nowego, co nie pasuje do reszty.

JŁ: Gdy jesteśmy już przy wsiach, chciałbym poruszyć temat tzw. nieistniejących wsi, czy może raczej wsi wyludnionych. To miejsca bardzo charakterystyczne dla BN, w których po dawnych mieszkańcach pozostały najczęściej jedynie ślady, takie jak: cmentarze, krzyże przydrożne, piwniczki czy drzewa owocowe. Wielu odwiedzających docenia ich tajemniczość, panujący w nich spokój i ciszę. Od niedawna te wsie się zmieniają. W Nieznajowej powstają kolejne obiekty infrastruktury turystycznej. W Radocynie zaczynają się budować domy. Droga przez Długie

może zostać wyasfaltowana. Przez Czarne przewalają się latem setki terenówek i autokary. Czy nie powinniśmy chronić tych miejsc? Z uwagi na pamięć, ale i z uwagi na coraz bardziej potrzebne i doceniane: ciszę i spokój, a nawet pustkę? Ta pustka jest smutna, gdyż przypomina o wysiedlonych Łemkach, z czasem zaczęta jednak pełnić rolę oazy spokoju, nabrała, obok negatywnego, również pozytywnego znaczenia.

SK: Ja trochę przekornie powiem: zobacz, jak pięknie wyglądała Warszawa w 1945 – czemu tego nie zostawiono – byłoby romantycznie, gdyby to jeszcze zarosło krzakami... Tu się wydarzyło coś, co się nie powinno wydarzyć. Istniejące wsie w BN się wypełniają, dlaczego nie mają się wypełniać nieistniejące? Te wsie chwilowo przestały istnieć. Istniały 500 lat. Przyszedł kataklizm wysiedleń, a teraz z powrotem odżywają. Kilka dolinek, w których znajduje się szczególnie dużo śladów po wsiach, które faktycznie są unikalne, powinno być zostawionych w spokoju. Powinno się pozostawić: Ciechanię, Wilsznię, Smereczne, Świerzową Ruską, Nieznajową, Czarne... itd. Kontemplowanie pustki ma sens pod warunkiem, że nie kontempluje tej pustki tysięcy osób na raz – więc takich cichych miejsc musiałoby być tyle, by nie spotykały się w nich tłumy. A reszta pewnie wróci do dawnego stanu. Wysiedlonych wsi było przecież kilkaset. Poza tym myślenie o ochronie takich miejsc pojawia się raczej u jednostek, a nie w instytucjach państwowych, nie w gminach, które chcą zarobić na sprzedaży ziemi, zebrać podatek od nieruchomości. W zarządach gmin raczej nie znajdują się ludzie, którzy potrafią dostrzec coś niezwykłego i pięknego w nieistniejącej wsi. Może dobrym pomysłem na to, by lokalne samorządy nie zniszczyły tych wsi, byłoby poszerzenie granic Magurskiego Parku?

JŁ: Niestety, rozwój turystyki przez lokalne władze rozumiany jest raczej jako przyciąganie masowego turysty. Turysta z plecakiem, śpiący w namiocie i jedzący konserwy, nie zostawi tyle pieniędzy, co turyści nastawieni na konsumpcję „atrakcji”.



Olchowiec. Pierwszy krzyż w stronę Wilszni, 1987, fot. S. Kryciński



Wołowiec, dom nr 10, 1981, fot. S. Kryciński

SK: Masowy turysta to niestety jest nieszczęście. Spójrz na Solinę!

JŁ: Solina jest dobrym przykładem tworzenia specjalnych warunków, by przyciągnąć w góry osoby niezainteresowane samymi górami, ich historią i kulturą. Infrastruktura turystyczna – od barów przez stoki narciarskie, tory offroadowe, po baseny i stragany z chińskimi ciupagami z napisem „Solina” – ma zatrzymać turystę (pieniądze) w miejscowości wypoczynkowej. Infrastruktura dla turystyki instant (czy inaczej konsumpcyjnej), sprowadza się do tworzeniu „atrakcji”, w których można wziąć udział, najlepiej zaraz po zaparkowaniu auta lub krótkim podejściu. Ponieważ turysta konsumpcyjny szybko się nudzi, tego typu atrakcji wciąż mu mało, co pobudza inwestorów do tworzenia wciąż nowych obiektów, które nierzadko wkraczają agresywnie w dawny, spokojny górski krajobraz. W BN buduje się ostatnio jedną wieżę widokową za drugą. BN staje się Beskidem Wieżowym. Pojawia się coraz więcej pomysłów tworzenia „atrakcji”: torów dla motocykli i quadów, ścieżek w koronach drzew itp. Budowane są nowe drogi, parkingi, wiaty ogniskowe i inne ułatwienia i atrakcje, które zwiększają ruch samochodowy, zwiększają ilość turystów nieprzygotowanych na wyjście w góry, niszczących szlaki, zaśmiecających je, urządzających grille i libacje w miejscach odpoczynku. Coraz częściej zamiast gdzieś pójść, czy się wspiąć, turyści wolą wjechać autem 4x4, np. pod samą dzwonnice w Polanach Surowicznych, czy quadem na szczyt Lackowej itd. Ilość niestety przechodzi w bylejakość. I myślę, że to jest właściwy problem, źródło lęku i niechęci turystów wędrownych do takiej turystyki. Nikomu nie przeszkadza, jak sądzę, to że ktoś otworzy nową agroturystykę we wsi, czy klimatyczną knajpkę, ale już np. stawianie



Żdźnia, lata 80, fot. S. Kryciński

ścieżki zdrowia na Magurze Małastowskiej, w pobliżu cmentarza wojennego, razi wielu.

SK: Tylko czy taki turysta będzie chodził po górach, będzie się chciał brudzić w błocie? Jeśli nawet na wieżę widokową najchętniej wjechałby windą (śmiech). Może i jest sens w tym, by zatrzymać go w niektórych miejscowościach. Wyobraź sobie teraz ten Olchowiec, a w nim wesołe miasteczko, knajpę, dyskotekę na świeżym powietrzu. Nie wszyscy miastowi szukają w górach miejskich rozrywek. Ja też jestem z miasta i czekając dziś na ciebie, siadłem sobie w ciszy, na ławeczce przed chałupą, z herbatą i przez godzinę patrzyłem przed siebie. Znajdą się jednak i tacy, którzy będą chcieli zrobić tu drugą Solinę, bo inaczej się nudzą. Być może wynika to z braku wyobraźni, nie bardzo wiedzą, co mieliby tu ze sobą zrobić, gdy przed sobą widzą góry i las. Niewątpliwie maleje świadomość turystów wyruszających w góry. Ja się uważam za ekologę (może nie jakiegoś wojującego) – zacznijmy myśleć od drugiej strony, od przyrody, my jesteśmy tu gośćmi. I teraz pakowanie się tutaj z „buciorami”, z tymi wszystkimi krzykliwymi wynalazkami cywilizacji, które urozmaicają wczasowiczom pobyt, pakowanie się w tę przyrodę jest po prostu zbrodnią. Są to tereny, gdzie ta przyroda dominuje, więc my jesteśmy w gościnie.

JŁ: Czyli jeśli turyście, który przyjeżdża do takiej Krempnej znajdującej się w środku MPN, nie wystarcza park przyrodniczy...

SK: ...to niech sobie jedzie do miasta do parku rozrywki! Do Jasła albo do Krosna, i do knajpy, albo na basen. Wieże widokowe z pewnością przyciągają

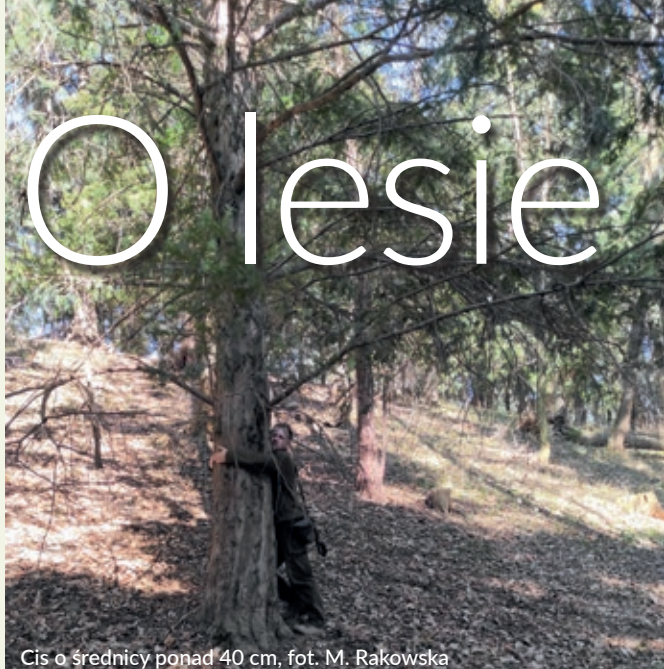


Bałucianka, początek lat 80, fot. S. Kryciński

turystów i kompensują brak widoków, na które turysta lubiący zaliczać góry, tak bardzo liczy. Wieże są przede wszystkim szpetne. Czasami się zdarza, w skali ogólnopolskiej, takie na których można oko zawiesić, ale większość jest po prostu szpetna. Do niczego nie nawiązują. Najgorsze są te metalowe – kto to wymyślił? Dawni miłośnicy Cergowej narzekają, że po zbudowaniu wieży, pojawiły się tam „dzikie tłumy”, które hałasują, niszczą roślinność i straszą zwierzęta. Trudno zrozumieć ideę budowania kolejnych wież na co drugiej górze, zwłaszcza w miejscach z których rozciąga się rozległy widok bez nich, jak na wzgórzu przy grodzisku Walik, czy na Wysokim. Niedługo będziemy z jednej wieży robili zdjęcia kolejnej...

JŁ: Czy to się nie kłóci z ochroną przyrody?

SK: Oczywiście, że się kłóci. Dla Parku Narodowego priorytetem powinna być ochrona przyrody i minimalizowanie wpływu ludzkiego na środowisko naturalne. Nie da się z tym pogodzić chęci przyciągnięcia jak największej ilości turystów oraz dążenia do zapewnienia im infrastruktury służącej ich wygodzie (wszakże tablice informacyjne zwalniają z czytania przewodników, kosze z noszenia własnych śmieci itd.) i dostarczaniu rozrywki. Tak, jak ja to rozumiem: Niszczenie bogatych przyrodniczo terenów dla wygody turysty jest absurdalne i zbrodnicze. Sama przyroda jest największą atrakcją Parku Narodowego i – można tak powiedzieć – to właśnie brak innych atrakcji, jest największą atrakcją takiego Parku. (Nie chodzi jednak jedynie o teren parku, dotyczy to tak samo całego bogatego przyrodniczo obszaru BN). Miałem takich kolegów na studiach, którzy przez cały rok pracowali w spółdzielni studenckiej po to, żeby zarobić na wakacje, a wakacje wyglądały w ten sposób, że jechali na Mazury z namiotem i chlali na umór przez miesiąc – i po to jechali 200 km... żeby powiedzieć, że byli na Mazurach...



Cis o średnicy ponad 40 cm, fot. M. Rakowska

Zwykły las?

Sławomir Springer

Zespół ds. Edukacji

Ostatnio byłem w pięknym lesie, innym niż wszystkie, które widziałem do tej pory. Las był bardzo wiekowy i bogaty w gatunki drzew. Dominowały jodły i zanikające już sosny. Obok dorodnych buków, jodeł, lip, trześni i dębów rosły klony polne i drzewiaste cisy o średnicy pnia do 40 centymetrów i wysokości do 18 metrów. Wyobraźcie sobie Państwo takie cisy? Nie rozłożyste krzewy, lecz proste strzały grubych cisów, zaiste abstrakcyjny widok – kora nie pasująca do żadnego obrazu drzew w lesie, zapisanego w mojej głowie. Nieprawdopodobny skład gatunkowy jak na to, co widziałem do tej pory, poczułem się trochę jak gdybym był w innej strefie roślinnej, setki cisów przywodziły na myśl szpilkowe lasy amerykańskich Gór Skalistych. Według dokumentów otrzymanych z Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska, najstarsze cisy miały około 250 lat. Postawne buki i dęby stróżowały całej drzewnej społeczności, a wysokie jodły wieńczyły sklepienie lasu. Gdy 2 osoby objęły ramionami pień najgrubszego dębu tak, by koniuszki palców dwóch dłoni dotykały się, to do zamknięcia kręgu zabrakło jeszcze szerokości dwóch dłoni. Wszystko to wielkie, dojrzałe, pamiętające XVIII stulecie, a więc żyjące od dawna w wolności od ludzkich rąk i narzędzi, jednym słowem prawdziwy las, albo po prostu zwykły, taki jakim być powinien, las. Gdzie ostatnio czułem się podobnie...? Chyba pod pięćdziesięciometrowymi bukami w słowackiej Stużicy... Jak uchowała się taka perełka? Niechybnie dzięki cisowi. Jego naturalne stanowiska obejmowane są ochroną, a ta, jak parasol, zabezpiecza również inne drzewa i całą przyrodę.

Miejsce, które odwiedziliśmy, to rezerwat przyrody Cisy w Malinówce, leżący nieco na wschód od Krośna, w gminie Haczów. Tutejsze cisy opisywane są jako najbardziej dorodne w całym kraju. Sam rezerwat przyrody, powstały w 1957 roku nie jest duży, ma niewiele ponad 4 hektary powierzchni. Kilka kilometrów na północny zachód od Malinówki znajduje się dużo większy rezerwat z cisami, 96-hektarowy las Kretówki, jednak cisy tam rosnące nie są aż tak imponujące. Największy rezerwat cisów w Polsce to rezerwat przyrody Cisy Staropolskie im. Leona Wyczółkowskiego, znajdujący się na Pomorzu, w Borach Tucholskich. Ma 113 hektarów, ale w jego granicach jest fragment jeziora i siedlisk mokradłowych. Rośnie tam 3,5 tysiąca cisów lecz ubywa ich, a młode cisy nie pojawiają się w przeciwieństwie do obszaru rezerwatu w Malinówce, gdzie jak najbardziej można zaobserwować młode, cisowe pokolenie.

Cis pospolity przed setkami lat rzeczywiście był drzewem występującym w polskich lasach powszechnie, rzadszy był na obszarach na wschód od Łuku Sanu, Wisły i Biebrzy. Cis nie lubi surowego klimatu kontynentalnego, przez Polskę przebiega wschodnia granica zasięgu gatunku w Europie. Najchętniej rośnie w gęstych lasach liściastych, a w górach – w lasach bukowych z jodłą. W lasach przereźdzonych przez człowieka może cierpieć od przymrozków i susz i rozkrzewiać się. Cisy wymagają stosunkowo dużego ocienienia, są ceniolubne, szczególnie w młodości. Taka młodość cisa może trwać nawet setki lat, a drzewo będzie cierpliwie i wolno przyrastało aż przebije się do jaśniejszej warstwy lasu. Z kilku powodów dziś nie jest tak powszechny, jak kiedyś. Przede wszystkim ze względu na użyteczne dla ludzi właściwości drewna. Cis rośnie wolno, ma gęste drewno, z bardzo małymi przestrzeniami powietrznymi, drewno jest twarde i trwałe. Jednocześnie, z racji swojej budowy, jest sprężyste. Drewno o takich cechach doskonale nadawało się do produkcji łuków i kusz, a także wydłużonych części mebli. W historii szybko okazało się, że cis jest gatunkiem „strategicznym” i już w 1423 roku król Władysław Jagiełło wydał dokument zakazujący niszczenia tego gatunku. Tym samym cis został pierwszą w naszej historii chronioną prawnie rośliną. Obecnie wszystkie stanowiska z licznym cisem są objęte ochroną rezerwatową, a pojedynczo rosnące okazy nie mogą być wycinane na naturalnych stanowiskach. Podobno w nowszych czasach cisy były niszczone w lasach, gdzie wypasano bydło i konie, ponieważ są dla tych zwierząt toksyczne, podobnie dla jeleni. Zupełnie nie szkodził natomiast kozom i sarnom.

Staruszek cis

Najstarsze dowody na istnienie cisów pochodzą z okresu wczesnokredowego, czyli między 150 mln

a 100 mln lat temu, a przodkowie cisa, drzewa z rodzaju *Paleotaxus* rosły już kilkadziesiąt milionów lat wcześniej. W polskich książkach można znaleźć informację o prawie 400 mln-letniej, dewońskiej historii cisa, lecz w dewonie na Ziemi nie było jeszcze żadnych drzew iglastych (liściastych również). Spośród drzew iglastych, rosnących w Polsce, cisy są niewątpliwie ewolucyjnie najstarsze.

Ptaki, martwe kłody, sarny i drapieżniki.

Cis to drzewo dwupienne, to znaczy, że występują osobniki żeńskie i męskie, tylko wyjątkowo na jednym drzewie można spotkać organy obu płci. Osobniki żeńskie po zapyleniu produkują nasiono otoczone czerwoną, słodką i mięsistą osnówką, jest ona jadalna również dla ludzi, lecz samo nasiono jest toksyczne. Takie „owocki” są przysmakiem niektórych ptaków leśnych, jak drozdy i kowaliki, a przejście nasiona przez przewód pokarmowy ptaka przyspiesza kiełkowanie, które odbywa się już następnej wiosny. Bez pomocy ptaka nasiono może wykiełkować nie raz dopiero po kilku latach. Jeśli młody cis pojawi się w runie leśnym, to może zostać zjedzony przez sarny, dlatego ważna jest obecność na dnie lasu kłód, koron i wykrotów czyli martwego martwego drewna, utrudniających zwierzętom penetrowanie runa. Ponadto zwierzęta jeleniowate unikają żerowania w takich miejscach, bo wśród nich mogą przyczyniać się drapieżniki. Obecność drapieżników w lesie jest podstawowym mechanizmem pozwalającym drzewom uniknąć zjedzenia przez roślinożerców.

W kulturze

Zwraca uwagę ciekawa rola cisa w zwyczajach naszych przodków, związana z jego toksycznymi właściwościami. Już w antycznej Grecji był „drzewem śmierci” i według mitologii rósł nad brzegami Acherontu w Hadesie. Słowianie posypywali igłami cisa drogę za konduktem pogrzebowym i podłogę pokoju w którym przebywał zmarły. W Tatrach i na Podhalu do XIX wieku zdarzało się, że pod drzewami cisowymi gromadzili się ludzie, palili nocą ogniska, przyprowadzali dzieci i chorych. Pod cisem zakopywano głowę jagnięcia w ofierze. W Pcimiu, święcone w Trzech Króli gałązki cisów służyły do okadzania bydła. Na Pomorzu gałązki cisów z palm wielkanočných wkładano za obraz nad łóżkiem, by dzieci poczęte w tym łóżku nie umierały. Na Podkarpaciu wierzono, że cisowe kołeczki używane do przybijania gontów chroniły przed uderzeniami pioruna

***Taxus baccata* w Magurskim Parku Narodowym**

Cis w granicach Parku jest bardzo rzadki. Nie tworzy większych skupisk, a naturalność kilku stanowisk jest trudna do zweryfikowania, gdyż znane są w polskich lasach przypadki sadzenia cisów przez leśników.

Przyroda mniej znana

Latarnie leśnego runa

Sałatnica leśna jest niejadalna, choć nazwa budzi skojarzenia z popularnym, liściastym warzywem. I nie bez powodu, bo liście sałatnicy, tworzące dekoracyjną rozetę, podobne są z kształtu do liści „dzikiej” sałaty, czyli sałaty kompasowej *Lactuca serriola*. Co ciekawe, owa „dzika” sałata też jest niejadalna, wręcz trująca, ale jej młode liście w małych ilościach nie trują, a człowiek dawno temu wyhodował z niej odmiany pozbawione dużych ilości szkodliwych substancji i tak powstała sałata siewna, pyszne warzywo.

Wracając – sałatnica leśna *Aposeris foetida* ma nieprzyjemny zapach (foetor z łaciny to smród) i jasnożółte kwiatostany, osadzone na długich łodygach (*aposeris* znaczy odległe latarnie).

Ta roślina wieloletnia (bylina) nie rośnie w całej Polsce, jej zasięg tylko nieco wykracza poza Podkarpacie i Roztocze, jest więc dla tych regionów charakterystyczna, może powinna zostać symbolem? Poza Polską rośnie w lasach niższych obszarów Karpat, Alp, Bałkanów i Pirenejów. Kwitnące sałatnice spotkamy w magurskich lasach liściastych i mieszanych od czerwca do sierpnia. Przekwitnięte zamieniają się w puszyste dmuchawce, charakterystyczne dla wielu roślin z rodziny astrowatych (jak np. mniszek lekarski). Na jesień nadziemne organy rośliny zamierają, a pączki zimowe czekają do następnego lata ukryte w ściółce.



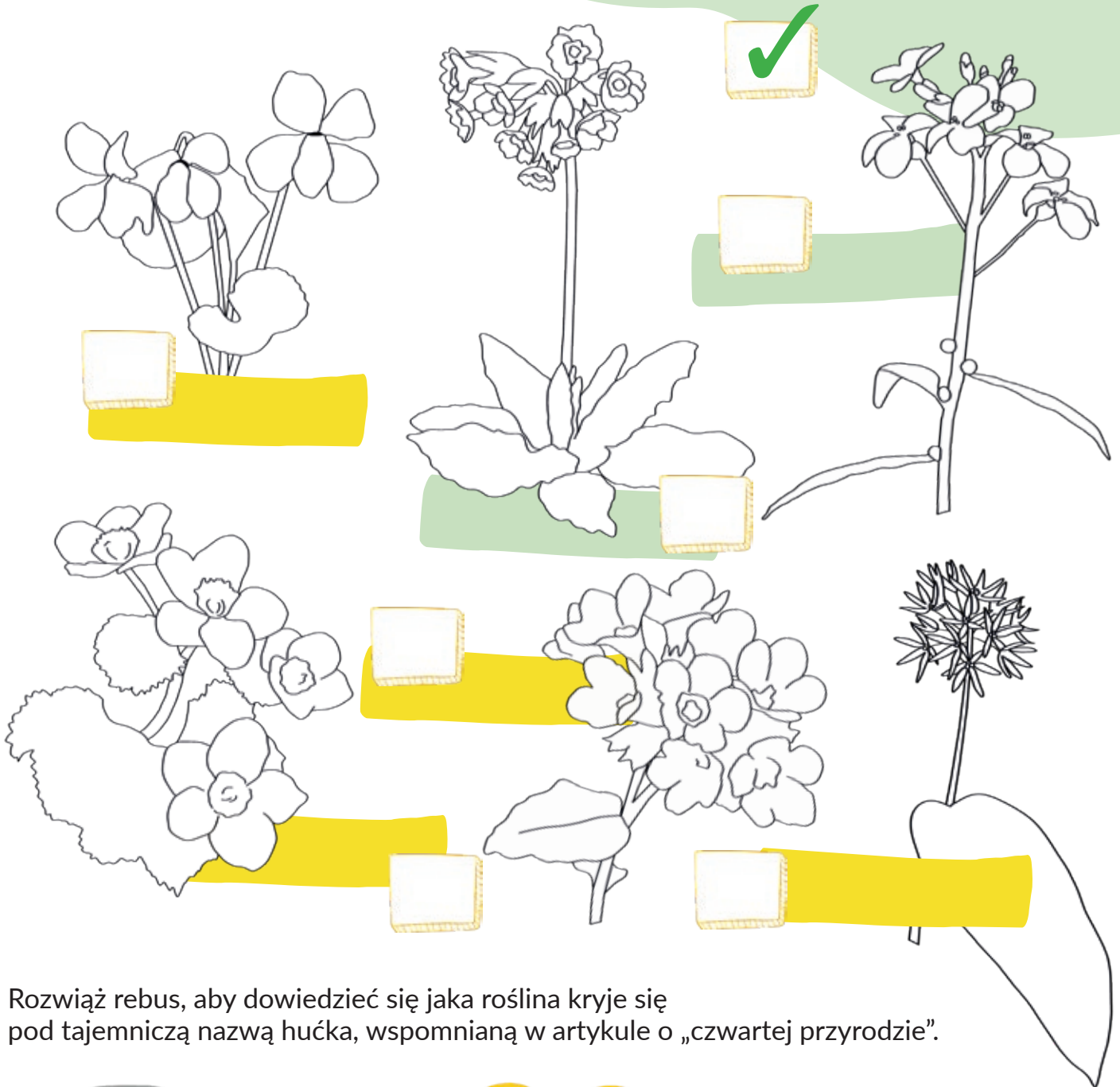
Sałatnica leśna, fot. S. Springer.

Młody Przyrodnik

Ewa Wygonik
Zespół ds. Udostępniania Parku

bingo - pierwsze wiosenne kwiaty

Nazwij, pokoloruj i znajdź tej wiosny...



Rozwiąż rebus, aby dowiedzieć się jaka roślina kryje się pod tajemniczą nazwą hućka, wspomnianą w artykule o „czwartej przyrodzie”.



~~mi~~



~~ra~~

Odpowiedź: